

Janusz Ziarnik

Łąka

Zamknięta ścianą lasu dolina nie dawała nadziei na dalszą wędrówkę. Jednak gdy droga znalazła prześwit wśród drzew, pielgrzym odzyskał wiarę. Listowie nad głową dało ulgę ciału udręczonemu upałem, a szemrzący niżej potok koił niezmienną pieśnią plusku. Czekał na tajemnicę, odczytana z mapy, miała się przenieść w czasie. Wyobraźnia hodowała obrazy. Co zostało z tego, co było i jak było, kiedy było?

Mozolne podejście spowolniło krok i skupiło uwagę na drodze. Ułożone na sztorc kamienie tworzyły litą nawierzchnię. Nie wszędzie. Gdzieniegdzie płynąca, zapewne deszczowa woda, wypłukała wyrwy i trudno byłoby jakimkolwiek pojazdem czterokołowym tą drogą jechać.

Chłód lasu skończył się wraz z nim. Droga pod górę zyskała perspektywę nieba. Drobne cumulusy w przestrzeni błękitu wróżyły dobrą pogodę. Kiedy wspiął się na wzniesienie, łąka otworzyła się szeroką polaną. Trawiaste zbocza tworzyły amfiteatr zamknięty bukowym lasem. Na wypłaszczeniu, jakby na scenie amfiteatru, rosła lipa. Nie mające konkurencji gałęzie utworzyły foremny stożek, zakończony łagodnym czubkiem.

Pod lipą stała kapliczka. Drewno, niszczone przez czas, mierzony deszczami i upałem, szerniało. To tu pewno stała cerkiew. Gdyby stała dziś, drewno jej gontów i bali ścian miałyby kolor kapliczki.

Amfiteatr polany miał widać dwa piętra, bo gdy droga pozwoliła wspiąć się wyżej, łąka rozpostarła się na zakola. Oczy napełnił obraz trawy przetykanej żółcią jaskrów, łagodną czerwienią ostróżek i niebieskim drobiazgami niezapominajek. Przestrzeń skomponowana przez naturę, a przecież...

Na tarasie polany, wzdłuż drogi i potoku po jego drugiej stronie stały ludzkie domostwa. W sadach kwitły jabłonie, pszczoły zbierały nektar. Pomiędzy stodółką, obórką i chatą krzątali się ludzie. Na łące pasły się owce. Ktoś umierał, ale i ktoś się rodził. Tu było życie. Tu był Rosolin.

Fotografia

Poranne słońce przedarło się przez ażur firanki do pokoju. Było zbyt słabe, by przedmioty ukazały pełnię swego istnienia. Powiedzmy, że zapaliły w nich małą iskrę. Światło wydobyło z półmroku zarys tapczanu, półki z książkami, pojawiła się ściana, szafa, stół, krzesła oraz fotel. Fotel w miękkości swej zdradziecki, gdyż spędzenie na nim kilku chwil oznaczało wtopienie się w jego świat. Ten, kto siadał, zostawał wchłonięty przez marzenia i wspomnienia. Na półce stojącej obok fotela leżała fotografia. Teraz, o poranku, rozeznac na niej można było tylko twarz kobiety z węgielkami oczu wpa-

trzonych w obiektyw. W pokoju panowała cisza mierzona tykaniem zegara. Stary szafkowy zegar w rzeźbionej, drewnianej obudowie miał duże, gotyckie cyfry i uplecione z metalu wskazówki. To one poruszane chronometryczną siłą dawały tej przestrzeni pozór życia. Słońce, zgodnie ze swoją naturą, powędrowało do góry, odsłaniając pełny obraz zamieszkałych w tym pokoju przedmiotów. Pojawiły się kanty, płaskość, światło odarło poranek z tajemnicy. Wydobyło także leżące na oparciu fotela korale. Ich czerwień, czerwień cząstek koralowca, była nieco przytłumiona solą mór, z których pochodziła. Korale starannie zwinięte wpisywały się w łagodność brązów mebli i nakrycia tapczanu, ale też stanowiły dominantę opisywanej przestrzeni. Pokój, kiedy wypełniło go światło, a może właśnie dlatego, okazał się pusty. Brakowało czegoś lub kogoś, kto dopełniłby jego treść. W powietrzu zawisło oczekiwanie. Trwało długo, aż do zachodu słońca, kiedy to promienie odkryły kurz na półkach, pajęczynę za szafą i porysowany cyferblat zegara. Odsłoniły też tajemnicę zdjęcia. Przedstawiało starszą, uśmiechniętą kobietę z naręczem czerwonych gladioli. Kobieta siedziała na ławce, mając w tle nieco rozmytą zieleń ogrodu. Pokój odzyskał swą istotę.

Magdalena Łubkowska

ciało słów

z pierwszym oddechem
krew nabiera czerwieni

słowa budzą się nagie
jak pisklęta

świt rozkłada głodne
ramiona

otwieram zmęczone oczy

w moich dłoniach zakwitają
leśne korytarze

zieleń zalewa tkanki

milczeniem sprawdzam słowa
zanim zmienią się w gałąź
ostatniej szczęśliwej brzozy

ostatni sen

budzę się w ciszy
ostatniego snu

słucham milczenia ptaków

ich głosy więzną w gardle
nieobecnym

krew zatrzymuje się
w połowie biegu

bez powietrza
każda sekunda umiera

niebo rozsypuje się w proch

ziemia pęka od niechcianych
kroków

tylko rzeka nadal cicho
płyne w nieznanym sobie
kierunku

dojrzewanie

budzą mnie szepty gałęzi
wierzbowych

głodne ptaki zdrapują
z powiek sen

krew świtu paruje

naskórek nasiąka i pęka
ziarnami czerni i czerwieni

cisza rośnie we mnie bólem
rozgryzionej gałęzi jabłoni

księżyc powoli dojrzewa
do śmierci – ja nie

zostaję na czarnym moście
na którym na śmierć
nigdy nie jest za późno



Rys. Sławomir Łuczyński